



*Jamnickie  
Stawki*

# Jamnickie Stawki

Wiesław A. Zdaniewski

**W**łóczęga niedawno pojawił się na szczycie. Stał opierając się o kamień, odpoczywał, łapał oddech i z zaciekawieniem rozglądał się po okolicy. Na przeciwko, w blasku zachodzącego słońca groźnie i dziko rysował się postrzępiony masyw skalnego Rohacza. W pustce, zasnutej cieniem wieczoru niepomiernej doliny, dzielącej masywy górskie aż hen po zanikający horyzont, przeświecały srebrnym odbłaskiem niebios, dwa bratnie jeziorka pełne tajemniczego uroku. Woda! był nieludzko spragniony. Niebawem pospieszał granią ku dołowi, podpierając się narciarskim kijkiem, pośród szumu spadającego szutru i kamieni. Z lewej strony czyhała na niego ciemna przepaść, zaś po prawej, stromo opadały zielone zbocza, na których gęsto utkane wśród traw sterczały zetlałe wanty jak pomniki porozbijane erozją i grzybem czasu. Musiał uważać by nie upaść na grani w tym pośpiechu za noclegiem w dolinie.



Nad górami panował grymas skwaru, było ciepło i sucho od wielu miesięcy. Włóczęga wybrał legowisko na murawie, pomiędzy krzakami kosodrzewiny. Woda spływając ze stawów niewyraźnie szemrała, wypowiadała tajemnicze zaklęcia, niczym klucze prowadzące do krainy czarów. Przebijała w tych dźwiękach nuta zachęty, a na zewnątrz cicha głusza osiadła w dolinie. Wokół nie było żywej duszy, jedynie na przeciwległym

brzegu jeziora rozlanego na wyżnim tarasie, odcinał się namiot. Włóczęga szedł na brzeg aby zaspokoić pragnienie. Woda w jeziorze była przejrzysta, leniwie rozpyływała się szeroką taflą, zaś pod nią, żywą tkanką podrygiwały kamienie. Tu i ówdzie przebiegał po wodzie pajęczak, zwinnymi nóżkami wyciskał maleńkie wgłębienia na gładzi jeziora, bez naruszania jego głębi. Włóczęga wiedział, że to siła przyrody, napięcie powierzchniowe, niczym elastyczna powłoka utrzymywało ciężar skocznych biegaczy na powierzchni wody.

Spieszno mu było zakosztować jeziora. Zniżył się opierając na rękach, aż dotknął ustami lustra wody; przez chwilę odbijało jego zmęczoną twarz, ale już zmacił gładką taflę i twarz rozmyła się bez śladu. Woda była zimna i słodka... Dopiero po jakimś czasie napełnił butelkę przyniesioną ze schroniska. Patrzył teraz na szczyty otaczające dolinę - wiele czasu minęło odkąd ze spokojem spoglądał na górskie stawki. Znajdował się po słowackiej stronie, za plecami miał spiętrzoną skalistą grań i ścieżkę wśród traw, która przywiodła go aż tutaj.

Zmierch stopniowo ogarniał okolicę. Włóczęga wrócił pomiędzy kosówkę, wyjął śpiwór z plecaka i przygotował sobie legowisko. Trawa w dolinie rosła kępkami, była długa i ostra i nieskazitelnie czysta, nawet mrówek w niej żadnych nie było. Rozebrał się i ułożył w śpiworze na tej łaskoczącej murawie, ciepłe powietrze stało nad nim nieruchomo... Leżał na wznak i spoglądał w górę, na błękitne niebo podbarwione różem; pachniało niezwykłością i powoli ciemniało. Niebawem pojawił się pierwszy ognik, a za nim drugi... trzeci... Gwiazda Polarna przesyłała swe posłannictwo na

Ziemię,  
skupiony blask  
niebios, dostępny  
każdemu kto potrafi spojrzeć  
w dal z uniesioną głową. Tuż obok  
niej, wytwór ludzkiej, nie boskiej ręki, rościł  
sobie prawo do gwiazdnej przynależności -  
sputnik, powoli, zmieniający swoją trajektorię,  
patrzył z wyżyn na Ziemię. Gwiazd przybywało.  
Bezustannie zapalały się nowe ogniki w kos-  
micznym oddaleniu, coraz to lepiej widoczne,  
błyskały światłem, jedne jaśniejsze, bardziej sre-  
brzyste, inne jakby pozłacane patyną, mrugały  
tajemniczo i intymnie, a niektóre czerwieniły się  
miedzią. Wpatrując się w ową jasność punk-  
tową... drgającą... tych niepojętych światów i plan-  
et, Włóczęga miał uczucie, że leży twarzą w twarz  
z istotą świata. Co się tam dzieje we  
wszechświecie? Czyżby jakaś zabawa, weselisko  
jakieś odbywało się tam u góry, uroczystość w  
podniosłym stylu?

Wokoło cisza trwała i firmament też milczał,  
lecz przychylnie ciemniał, rozsiewając coraz to  
więcej niebieskich tajemnic - gwiazd na swym  
poszyciu. Były już ich całe konstelacje, chociaż  
noc jeszcze nie zapadła i w nikłych promieniach  
zamierającego słońca wciąż jeszcze widoczne  
były szczyty okalające dolinę.

Po długiej wędrówce wspaniale było tak leżeć  
beztrosko i patrzeć w dal ku gwiazdom; upajały go  
coraz bardziej swoim pozaziemskim czarem, z mag-  
netyczną siłą oddziaływały na jego jestestwo.  
Odległe w swej nieskończoności, a jednak swojskie i  
bliskie, pulsujące życiem, niezgłębione tajemnice  
wszechświata. Czy istnieje tam życie, inne istoty, w  
oddali niezmierzonej, na krańcach wyobraźni  
ludzkiego umysłu? Niewątpliwie tak! Włóczęga  
wierzył w to z przekonaniem silniejszym aniżeli w  
spełnienie się czarownych snów. Niebawem usnął.

Obudził się w środku nocy, na nowo spragniony.  
Sięgnął po butelkę z wodą. - Niebo było teraz grana-  
towe, nieprzenikniona ciemność wokoło, ale za to  
miljony gwiazd, niezliczone i nieposkromione ich ilości,  
lśniły mu nad głową. Może znajdzie tam sposób na  
odnalezienie siebie? Patrzył na drogę mleczną, zapyloną  
diamentowym pyłem, istną chmurą ciągnącą się od  
wschodu do zachodu; smugę nadzieji niezmierzonej,

drogę  
tętniącą kos-  
micznym życiem...

Cisza trwała niepodzielnie i  
chyba nawet stawki już posnęły, gdyż  
szemranie wody prawie zanikło. Jedynie gorący  
powiew nieprzerwanie kołysał nocą. Zdjął odzie-  
nie i w zadumaniu głąaskał kłującą murawę.  
Wydało mu się, że jezioro odbiło się i pod-  
skoczyło ku niebu, wtopiło pomiędzy gwiazdy,  
wzmocniło swój blask, lśnienie, które przenikało  
jego ciało. Czuł ów blask nie tylko oczyma,  
wlewał mu się w żyły i wypełniał jego krew,  
przemienił ją w poświatę życiodajną, coraz silniej  
właczał mu się w zmysły, przenicowywał go, ten  
wszędobylski blask, świecił teraz już w nim, coraz  
intensywniej, aż sam stawał się blaskiem,  
niebieskim światłem...



**K**iedy się zbudził słońce już było wysoko i  
trawa dobrze nagrzana. Wysupał się ze  
śpiwora ażeby przyjrzeć się porankowi.  
Wiatr zmiatał trawy rosnące na zboczach  
gór, raz w tę, to znowu w przeciwną stronę. Były to  
długolistne trawy, nie takie jak te w dolinie wokół  
śpiwora. Smagane wiatrem poruszały się jak ulotne  
płomienie. Jak gdyby na zboczu zapalił się zielony  
pożar, tym większy, im bardziej wietrzyisko przybierało  
na sile. Smugi zielonych płomieni przewalały się z  
boku na bok, odwracały i kłębiły, na przemian lśniły,  
lub matowiały w słońcu blaskiem zielonego ognia  
podsycanego wichurą. Wkrótce obejmowały już całą  
górkę, płonęły wszystkie zbocza, cała dolina pałała  
zielonym ogniem.

Włóczęga spakował resztki jedzenia, zwinął swój  
dobytek, zarzucił na plecy, ujął kijek i rozpoczął swą  
codzienną wędrówkę. Nie wiedział w jakim  
kierunku zmierza i po co. □

Tatry Zachodnie, sierpień 1992 na tydzień przed śnieżną  
burzą, pisałem w autobusie jadącym do Washington D.C.

6.VI.1995. W.A. ZDANIEWSKI. ©